

Rodność

Na skraju miasta był las.

Nie posadził go nikt.

Nie było dnia, w którym ktoś przyszedł tam z planem, rozwinął arkusz papieru na pniu i powiedział, że odtąd w tym miejscu ma rosnąć dokładnie sto siedemnaście drzew. Nikt nie wymierzał odległości pomiędzy sosnami ani nie sprawdzał, czy brzoza, która właśnie wychodzi z ziemi, będzie miała za dziesięć lat wystarczająco dużo światła.

Jedne drzewa rosły blisko siebie.

Inne miały wokół dużo przestrzeni.

Któreś wyrosło przy kamieniu, inne pod skarpą, jeszcze inne tak blisko starszego drzewa, że przez wiele lat musiało szukać światła gdzieś z boku.

Nie wszystkie rosły prosto.

Nie wszystkie były silne.

Nie wszystkie przeżywały.

Las nie wyglądał jak coś zaplanowanego.

Mężczyzna, który często przez niego chodził, myślał czasem, że wygląda raczej jak życie.

Nie znał nazw wszystkich drzew i nigdy szczególnie mu to nie przeszkadzało. Potrafił rozpoznać sosnę, brzozę, dąb, ale przy wielu innych po prostu się zatrzymywał.

Najbardziej lubił wiosnę.

Pod zeszłorocznymi liśćmi pojawiały się wtedy małe zielone pędy. Czasami wyrastały w miejscu, którego rozsądny ogrodnik nigdy by im nie wybrał.

Za mało światła.

Za mokro.

Za sucho.

Za blisko dużego drzewa.

Za mało miejsca.

Mężczyzna patrzył na taki pęd i nigdy nie przychodziło mu do głowy pierwsze pytanie:

czy powinien tu być?

Pęd już był.

Dopiero potem zaczynała się cała reszta.

Mężczyzna miał dzieci.

Ośmioro.

Kiedy mówił tę liczbę, ludzie czasem prosili, żeby powtórzył.

— Osiem?

— Osiem.

Niektórzy uśmiechali się z niedowierzaniem. Inni natychmiast zaczęli liczyć.

Pokoje.

Łóżka.

Buty.

Jedzenie.

Samochód.

Szkoły.

Wakacje.

Studia.

Telefony.

Lekarzy.

Dentystów.

Mężczyzna znał te rachunki.

Może nawet lepiej niż wielu ludzi, którzy mu je przedstawiali.

Wiedział, ile kosztują dzieci, bo płacił.

Wiedział, że wyrastają z ubrań w najgorszym możliwym momencie, że chorują wtedy, kiedy człowiek miał właśnie pracować, że aparat na zęby nie pyta, czy jest dobry miesiąc, a dziecko nie wybiera godziny, w której będzie potrzebowało ojca.

Bywały miesiące, kiedy pieniędzy było za mało.

Bywały noce, kiedy snu właściwie nie było.

Bywały dni, kiedy miał ochotę, żeby nikt już niczego od niego nie chciał.

Zdarzało się, że wracał do domu i jeszcze zanim zdjął kurtkę, ktoś mówił:

— Tato...

I już wiedział, że jego własny dzień jeszcze się nie skończył.

Nie uważał więc, że życie jest lekkie.

Tylko nigdy nie zaczynał od jego ciężaru.

Pierwszy raz pamiętał bardzo dobrze.

Kobieta powiedziała:

— Będziemy mieli dziecko.

Potem zapadła cisza.

Nie taka, jaką pamięta się z filmów. Nikt nie zaczął płakać ze szczęścia. Nikt nie rzucił się nikomu na szyję.

Siedzieli przy stole.

Na stole stała herbata.

Mężczyzna patrzył na kobietę i przez chwilę docierało do niego tylko jedno:

będzie dziecko.

Nie plan.

Nie możliwość.

Nie projekt przyszłości.

Dziecko.

Już zaczęte.

Jeszcze niewidoczne, jeszcze niemożliwe do przytulenia, ale obecne w ich życiu inaczej niż wszystkie rozmowy, które mogli prowadzić dzień wcześniej.

Nie pamiętał, żeby wtedy policzył pieniądze.

Nie pamiętał, żeby sprawdził, czy mieszkanie jest wystarczająco duże.

Nie dlatego, że nie wiedział o pieniądzach i mieszkaniach.

Po prostu pierwszym ruchem nie było liczenie.

Pierwszym ruchem było uznanie, że ktoś już przyszedł.

Później było podobnie.

Nie identycznie.

Każda wiadomość przychodziła przecież do innego domu, choć adres czasem pozostawał ten sam.

Przy kolejnym dziecku w mieszkaniu stało już łóżeczko.

Przy następnym trzeba było zmienić samochód.

Jeszcze później pytania robiły się cięższe, bo doświadczenie było większe.

Mężczyzna wiedział już, ile może kosztować choroba dziecka.

Wiedział, ile kosztuje brak snu.

Wiedział, jak bardzo rodzicielstwo potrafi wejść pomiędzy dwoje ludzi.

Wiedział, że miłość do dziecka nie chroni przed zmęczeniem, złością ani bezradnością.

Wiedział również, że nie każde dziecko rodzi się zdrowe i że nie każda przyszłość wygląda tak, jak człowiek sobie wyobraża.

Im więcej miał dzieci, tym mniej mógł mówić o rodzicielstwie z niewiedzy.

A jednak kiedy pojawiała się kolejne życie, nie stawał przed nim z pytaniem:

czy spełniasz warunki, żebyśmy pozwolili ci zostać?

To było chyba najbliższej tego, czego przez wiele lat nie umiał nazwać.

Nie uważał siebie za właściciela życia, które już zaczęło istnieć.

Czasami ktoś mówił:

— Przecież trzeba odpowiedzialnie planować.

Mężczyzna nie protestował.

Oczywiście, że trzeba.

Człowiek może planować dom.

Może planować pracę.

Może zastanawiać się, czy chce kolejnego dziecka.

Może rozmawiać o antykoncepcji.

Może wiedzieć, ile ma siły i ile miejsca.

To wszystko było dla niego zrozumiałe.

Tylko kiedy życie już się pojawiało, zmieniała się kolejność pytań.

Nie pytał już:

czy chcemy, żebyś był?

Pytał:

skoro jesteś, co teraz zrobimy, żebyś mógł być z nami?

I wiedział, że pomiędzy tymi pytaniami jest ogromna różnica.

Raz ktoś powiedział mu bardzo wprost:

— A jeśli was nie stać?

Mężczyzna odpowiedział:

— To będzie nas nie stać.

Rozmówca roześmiał się, sądząc chyba, że to żart.

Nie był.

Nie znaczyło to:

jakoś będzie.

Nie znaczyło:

pieniądze nie mają znaczenia.

Znaczyło tylko, że brak pieniędzy był dla niego problemem do rozwiązania po stronie żyjących, a nie argumentem przeciwko temu, kto już zaczął żyć.

Jeżeli brakowało pieniędzy, trzeba było ich szukać.

Jeżeli brakowało miejsca, trzeba było przesunąć meble.

Jeżeli brakowało czasu, coś innego musiało poczekać.

Nie zawsze się udawało.

Czasem rzeczywiście było za ciasno.

Czasem dziecko nie dostało tego, co miałoby w innym domu.

Czasem ojciec był zmęczony bardziej, niż chciał przyznać.

Szacunek do życia nie sprawiał, że warunki znikwały.

Sprawiał jedynie, że **warunki nie były sędzią życia**.

Po wielu latach siedział w urzędzie naprzeciwko kobiety przy biurku.

Przed nią leżał formularz.

Kobieta była spokojna, rzeczowa i dokładna. Pytała o dochód, metraż, szkołę, stan zdrowia, opiekę, alimenty.

Mężczyzna odpowiadał.

W pewnym momencie zatrzymała długopis.

— Ośmioro dzieci?

— Tak.

Spojrzała na niego.

— Ośmioro?

— Tak.

— To bardzo dużo.

— Dużo.

Kobieta przez chwilę jeszcze patrzyła, jakby próbowała zestawzić stojącego przed nią człowieka z liczbą zapisaną w formularzu.

— Trzeba przecież mierzyć siły na zamiary.

Mężczyzna nie odpowiedział od razu.

Nie dlatego, że uważał swoje siły za nieskończone.

Wiedział, że nie były.

Wiedział nawet, gdzie kilka razy się skończyły.

Pamiętał zmęczenie, którego nie dało się przespać jedną nocą.

Pamiętał pieniądze pożyczane na rzeczy, których nie można było odłożyć.

Pamiętał sytuacje, w których nie był takim ojcem, jakim chciał być.

Pamiętał dzieci czekające na niego, kiedy przyjechał za późno.

Pamiętał własną złość.

Pamiętał bezradność.

Siły miały granice.

Tylko słowo **zamiary** zupełnie nie pasowało mu do ośmiorga dzieci.

Nie przypominał sobie chwili, w której usiadł i powiedział:

zamierzam mieć ośmioro.

Kobieta wróciła do formularza.

— Przy odpowiedzialnym planowaniu rodziny bierze się pod uwagę możliwości rodziców.

— Rozumiem — powiedział.

I naprawdę rozumiał.

Nie czuł wobec niej sprzeciwu.

Jej praca zaczynała się właśnie od warunków.

Musiała pytać, czy dzieci mają gdzie spać.

Czy mają co jeść.

Czy ktoś nad nimi czuwa.

Czy pieniądze wystarczają.

Czy dom daje im bezpieczeństwo.

Tak powinno być.

Tylko on patrzył na tę samą rzeczywistość od trochę innej strony czasu.

Przed kobietą leżała cyfra:

8

Dla niej była informacją.

Dla formularza parametrem.

Dla instytucji jednym z elementów oceny sytuacji.

Dla kogoś mogła być ostrzeżeniem.

Dla jeszcze kogoś dowodem nieodpowiedzialności.

A nawet patologii społecznej.

Mężczyzna patrzył na ósemkę i nie widział liczby.

Widział dziecko śpiące kiedyś na jego ramieniu, tak ciężkie od snu, że przez pół godziny nie chciał się poruszyć.

Widział drugie biegnące z plecakiem przez podwórko.

Trzecie siedzące przy stole z rozciętym kolanem.

Kogoś, komu przez pół nocy zbijał gorączkę.

Kogoś śmiejącego się tak głośno, że reszta domu krzyczała, żeby się uspokoił.

Kogoś, z kim przez kilka miesięcy prawie nie umiał rozmawiać.

Kogoś, kto już dawno dorósł.

I kogoś, kto nadal czasem dzwonił:

— Tato, możesz?

Osiem żyć.

Każde tak osobne, że nie umiał ich z powrotem zamienić w cyfrę.

— Rozumie pan, o czym mówię? — zapytała kobieta.

— Rozumiem.

Ona mówiła o tym, **co trzeba zapewnić życiu.**

On pamiętał moment wcześniejszy:

czy życie, które już przyszło, ma zostać.

I chyba właśnie tutaj ich perspektywy rozchodziły się najbardziej.

Nie w odpowiedzialności.

W kolejności.

Po spotkaniu długo siedł pieszko.

Nie miał ochoty wracać od razu.

W końcu znalazł się przy lesie.

Była późna wiosna. Ziemia pod drzewami była jeszcze wilgotna po deszczu, a ścieżka miejscami miękka.

Przy skraju zobaczył małą sosnę.

Nie pamiętał jej z zeszłego roku.

Rosła prawie pod dużym drzewem.

Miała niewiele światła i gdyby ktoś projektował to miejsce, zapewne nigdy nie posadziłby jej właśnie tam.

Mężczyzna przykucnął.

Dotknął palcem jednej z miękkich, jasnozielonych końcówek.

Nie wiedział, czy sosna przeżyje.

Może duże drzewo zabierze jej światło.

Może któregoś roku złamie ją śnieg.

Może ziemia będzie za sucha.

Może za dziesięć lat będzie wielka.

Nie wiedział.

I nagle pomyślał, że żadne z tych pytań nie zmienia tego, co znajdowało się przed nim właśnie teraz.

Sosna żyła.

Można było jej pomóc.

Można było jej nie pomóc.

Można było dyskutować o tym, czy to dobre miejsce.

Można było przewidywać jej przyszłość.

Ale nie trzeba było najpierw rozstrzygać, czy zasługuje na szacunek.

Wstał.

Poszedł dalej.

Kilka miesięcy później ktoś znowu powiedział mu, że posiadanie tak dużej liczby dzieci było nieodpowiedzialne.

Mężczyzna spróbował powiedzieć o lesie.

— Drzewa nie rosną według planu.

Rozmówca roześmiał się.

— Ludzie to nie drzewa.

— Wiem.

I na tym skończyli.

Bo człowiek rzeczywiście nie jest drzewem.

Dziecko potrzebuje znacznie więcej niż ziemi, deszczu i słońca.

Potrzebuje człowieka.

Jedzenia.

Leczenia.

Ochrony.

Czasu.

Granicy.

Czasem przez kilkanaście albo kilkadziesiąt lat potrzebuje, żeby ktoś niósł za nie rzeczy, których ono samo jeszcze unieść nie może.

Mężczyzna wiedział o tym aż za dobrze.

Nie próbował usprawiedliwiać własnego życia naturą.

Las nie był argumentem.

Był tylko miejscem, w którym widział wyraźniej coś, czego nie potrafił wyjaśnić przy stole.

Życie ma własną godność jeszcze zanim człowiek oceni warunki, w których będzie musiało żyć.

Warunki mogą być złe.

Mogą wymagać zmiany.

Mogą być tak złe, że człowiek będzie musiał prosić innych o pomoc.

Ale życie nie staje się przez to mniej życiem.

Z czasem dzieci zaczęły odchodzić z domu.

Najpierw jedno.

Potem następne.

Pokoje, które kiedyś były za małe, zaczynały stać puste.

Rzeczy wynoszono.

Łóżko znikło.

Biurko przechodziło do innego pokoju.

Ktoś wracał po pudło książek pół roku później.

Jedno dziecko mieszkało blisko.

Drugie wyjechało daleko.

Jedno dzwoniło często.

Inne znikło na tygodnie.

Jedno znalazło swoją drogę niemal od razu.

Drugie długo próbowało.

Mężczyzna czasami chodził wtedy po lesie i myślał, że rodzina naprawdę trochę go przypomina.

Nie dlatego, że powinna być dzika.

Nie dlatego, że nie potrzebuje porządku.

Po prostu życia nie udało się ustawić w równych rzędach.

Jedno z dzieci rośło szybko.

Drugie długo pozostawało pod cieniem czegoś większego.

Jedno potrzebowało mało.

Drugie przez wiele lat bardzo dużo.

Czasem ich gałęzie plątały się tak mocno, że trudno było powiedzieć, czyja sprawa należy jeszcze do kogo.

A jednak każde pozostawało osobnym życiem.

Mężczyzna nigdy nie żałował, że nie były do siebie podobne.

Któregoś dnia przejeżdżał obok szkółki leśnej.

Zatrzymał samochód.

Za ogrodzeniem rosły setki małych drzew.

Równe rzędy.

Odpowiednia odległość.

Podobna wysokość.

Każde opisane.

Każde policzone.

Ziemia przygotowana.

Miejsce przewidziane.

Drzewa zdrowe, zadbane, zabezpieczone na tyle, na ile człowiek potrafił zabezpieczyć młode drzewo przed przyszłością.

Mężczyzna patrzył długo.

Było w tym coś pięknego.

Nie czuł żadnej potrzeby przeciwstawiania szkółki lasowi.

Szkółka niosła troskę.

Ktoś wcześniej pomyślał o świetle.

O wodzie.

O chorobach.

O przestrzeni.

O tym, co będzie potrzebne, zanim małe drzewo trafi na swoje miejsce.

Mężczyzna pomyślał o kobiecie z formularzem.

Może właśnie to robiła.

Próbowwała sprawdzić ziemię.

Odległość.

Miejsce.

Możliwości.

Nie dlatego, że gardziła życiem.

Być może właśnie dlatego, że chciała je chronić.

I wtedy zobaczył wyraźniej, że jego własny las wcale nie musiał być przeciwko jej szkółce.

Oni po prostu zaczęli patrzeć w różnych chwilach.

Szkółka pytała:

jak przygotować dobre warunki dla życia?

Las przypominał:

a co wtedy, kiedy życie już się pojawiło, zanim zdążyliśmy przygotować warunki?

Mężczyzna nie miał potrzeby rozstrzygać, które pytanie jest mądrzejsze.

Potrzebował obu.

Tylko wiedział, które z nich było dla niego pierwsze, kiedy słyszał:

— Będziemy mieli dziecko.

Kilka lat później w lesie przewróciło się jedno z dużych drzew.

Mężczyzna znał je od dawna.

Korzenie wyszły z ziemi razem z ogromną bryłą gliny i piachu. Pień leżał w poprzek niewielkiej polany.

Przez pierwsze miesiące wyglądał jak koniec czegoś.

Potem wokół niego zaczęło się dziać życie.

Owady weszły pod korę.

Mech pojawił się na drewnie.

W zagłębieniu po korzeniach zbierała się woda.

W świetle, które wcześniej zasłaniała korona, wyrosły młode rośliny.

Mężczyzna zatrzymał się tam pewnego dnia dłużej.

Pomyślał, że szacunek do życia nie jest obietnicą, że wszystko zakończy się dobrze.

Nie jest gwarancją zdrowia.

Nie jest zapewnieniem, że człowiek nie będzie cierpiał.

Nie jest nawet obietnicą, że to, co przyjęliśmy, zostanie z nami długo.

Szacunek nie mówi:

będziesz bezpieczny.

Mówi raczej:

twoja niepewność nie odbiera ci wartości.

To było chyba najbliżej słowa, którego szukał przez całe życie.

Kiedyś jedno z dzieci zapytało go:

— Tato, gdybyś wiedział wcześniej, jak to wszystko będzie wyglądało, też miałbyś nas wszystkich?

Mężczyzna roześmiał się najpierw, ale potem zobaczył, że pytanie jest poważne.

Nie odpowiedział od razu.

Wiedział przecież rzeczy, których młody ojciec przy pierwszym dziecku nie wiedział.

Wiedział o kosztach.

O zmęczeniu.

O błędach.

O rozstaniach.

O strachu.

O dniach, kiedy nie miał już czym dawać.

O tym, że dzieci potrafią odejść.

O tym, że można kochać człowieka i jednocześnie zupełnie go nie rozumieć.

O tym, że ojciec może zrobić wszystko, co potrafi, i nadal coś stracić.

— Nie wiem, co zrobiłbym, gdybym wiedział wszystko — odpowiedział.

Dziecko spojrzało na niego zaskoczone.

— Serio?

— Serio. Człowiek, który wie wszystko, nie istnieje.

Po chwili dodał:

— Ale wiem, że kiedy już każde z was było, nie chciałem świata bez niego.

Dziecko nic nie powiedziało.

Mężczyzna również.

To wystarczyło.

Na starość chodził po lesie wolniej.

Niektórych drzew już nie było.

W innych miejscach wyrastały nowe.

Zdarzało się, że zatrzymywał się przy pędzie tak małym, że jeszcze rok wcześniej mógł go przeoczyć.

Nie wiedział, czy przeżyje.

Nie próbował mu tego zagwarantować.

Nie wiedział, czy miejsce jest dobre.

Nie potrafił przewidzieć zimy.

Ale nie pytał również:

czy las powinien być dopuścić cię do istnienia?

Pochylał się czasem.

Patrzył.

Potem szedł dalej.

Po wielu latach chyba właśnie tak rozumiał rodność.

Nie jako liczbę dzieci.

Nie jako płodność.

Nie jako wezwanie, żeby człowiek rodził bez końca.

Nawet nie jako przekonanie, że planowanie jest czymś złym.

Rodność była dla niego wcześniejszym ruchem.

Miejszem w człowieku, w którym życie spotykało najpierw szacunek, a dopiero później rachunek.

Bo rachunek trzeba było zrobić.

Czasami bardzo dokładnie.

Trzeba było zobaczyć, czego brakuje.

Co trzeba zmienić.

O co poprosić.

Z czego zrezygnować.

Co człowiek jest jeszcze w stanie unieść.

Ale życie nie musiało najpierw wykazać, że będzie zdrowe, tanie, łatwe, przewidywalne i wygodne, żeby zostało uznane za warte pozostania.

Las nigdy nie dawał takich gwarancji.

Wiosną po prostu znowu coś wychodziło spod ziemi.

A mężczyzna, ilekroć to widział, przypominał sobie osiem twarzy.

Nie osiem zamiarów.

Nie osiem kosztów.

Nie osiem pozycji w formularzu.

Osiem razy życie, które pojawiło się przed rachunkiem.

I osiem razy ten sam, choć za każdym razem coraz cięższy ruch:

jesteś.

Zostań.